

ŁUKASZ CZESZUMSKI

KREW WOJOWNIKÓW

TOM IV

KSIEŻNICZKA ALHAMBRY

Ci, którym udało się przeżyć, mieli do końca swoich dni dziwić się, że zagłada, wbrew przepowiedniom, nie okazała się wcale końcem tego świata. Tak jakby jeźdźcy Apokalipsy zatrzymali się w pewnej chwili i postanowili nie dopełniać swego dzieła, zostawiając swemu losowi ruiny, zabitych, spalone pola, wyrżnięte bydło, obraz zniszczenia i nędzy. Być może chodziło o to, aby tych, którzy to wszystko przetrwali, skazać na wieczną rozpacz.

W zniszczonym przez wiele najazdów kamiennym mieście pośród gór odbijał się echem głos kapłana. Niemłody już mężczyzna odziany w postrzępiony strój mnicha stał u szczytu schodów spalonej katedry i prowadził mszę dla grupki nędznych ludzi. Kazanie prowadził nie po łacinie, a w lokalnym dialekcie i nie powtarzał suchych słów Pisma, lecz używał swoich własnych. Jego słowa trafiały do uszu nieszczęsnych, nie wywołując na ich obliczach żadnej emocji, a potem odbijały się echem wśród spalonych ruin domów i zapadniętych dachów.

– Przekazał Bóg słowami Ezechiela, że jedna trzecia pomrze od zarazy i zginie z głodu, jedna trzecia padnie od miecza, a pozostali zostaną rozrzućeni na wszystkie strony. I będą biedni, wyśmiewani, staną się przedmiotem hańby. Pan przepowiedział tysiące lat temu

tragedie, które odwiecznie chłószczą ludzkość za jej pychę, grzechy i okrucieństwa. Jak mamy to rozumieć, jak nie tylko poprzez prawdę, że jest to dla nas nie kara, ale szansa, aby się poprawić i odnaleźć w sobie prawdziwą wiarę...

Plecy zgromadzonych były przygarbione, spojrzenia puste. Brudne i pokryte odciskami dłonie złożone do modlitwy.

– Bo jakże rozumieć, że niewinni ginęli za karę, skoro nie mieli w sobie winy? Życie jest ciągłym cierpieniem, ciągiem trudnych prób i wyzwań. Istniejemy po to, aby odnaleźć w sobie siłę do odbudowy, do ukształtowania samych siebie na nowo. Jako lepszych, niezłomnych, pokonujących codzienny trud ze spokojem ducha. Dzięki miłosierdziu i Bożej łasce, przebacząc wrogom, którzy nie wiedzieli, co czynią, i odbudowując to miasto tak, by życie w nim było odbiciem królestwa niebieskiego.

Patrzyli na niego oczyma, które nie potrafiły już płakać. Stali bez ruchu, ciała wielu z nich dygotały tylko lekko od wielomiesięcznego głodu i chorób. Wierzyli jednak w jego słowa, a wiara ich krzepiła. Wiedzieli, kim był kiedyś ten ksiądz, i widzieli, kim stał się teraz.

Kiedyś był biskupem, prawą ręką jednego z rzymskich kardynałów. Żył w pysznym pałacu w dzielnicy Nubiese, jadał ze złotych naczyń, jeździł na rumaku ze switą strażników i sług. Rozmawiał wtedy z prostymi ludźmi słowami wzniosłymi. Cenił luksus i przyjemności życia, dobre jadło i dystygowane towarzystwo. Gromadził bogactwa i dzieła sztuki, gardził prostym ludem i jego nędzą. Miał swoje wady. Zaglądał często do kielicha i łamał – co prawda rzadko, ale jeśli już, to intensywnie – śluby czystości. Tak bardzo się zmienił. Teraz nosił potargany mnisi płaszcz, twarz jego wychudła była i zmęczona, postawę miał pokorną. Stare czasy upadły, a dawny biskup razem z nimi. Rzym był w ruinie. Zgraje dzikich najemników rozgrażyły stolicę świata, pomordowały dziesiątki tysięcy ludzi, spaliły domy i pałace. Zasiekli mieczami kardynała, którego prawą ręką był biskup, a który nie zdążył w porę uciec do Zamku Anioła. Złupili kardynalski pałac w dzielnicy Nubiese. Słudzy uciekli,

a strażnicy sami przystąpili do grabieżców, a potem bili się z nimi o podział łupów. Biskupa tylko ślepy los uratował wtedy od śmierci. Uciekał z Rzymu na starym koniu, w poszarpanej i pokrwawionej szacie, i jechał, dysząc z przerażenia, pośród płonących kamienic i kościołów, z których dochodziły krzyki gwałconych kobiet i mordowanych mieszczan. I udało mu się wyjechać z miasta, lecz zaraz za bramami dopadli go maruderzy. Chciał ich obłaskawić dobrym słowem, ale oni nie słuchali żadnych słów. Zrzucili go z konia, zdarli z niego biskupie szaty. Obmacali je i znaleźli pozaszywane w fałdach kaftana złote monety. Darli tkaninę i wpychali skudy w swoje juki. Opluli go, pobili dotkliwie. Krzyknęli na jednego, by toporem obciął mu głowę, ale wtedy biskup dostał nagle nadludzkich sił, wyrwał się im i uciekł nago w pole, a oni byli zbyt pijani, aby go dogonić. Błąkał się potem po gościńcach, szukając ratunku, ale wszędzie widział tylko ciała pomordowanych, spalone wioski i zniszczone miasta. Nic nie oparło się niszczycielskiej sile zbuntowanego wojska. Pierwszego dnia znalazł obok gościńca martwego mnicha. Zdarł z jego ciała habit i go założył. Obwiązał pokrwawione stopy szmatami i tak wędrował przez całą Italię aż do miasta w górach Lombardii, w którym pięćdziesiąt lat wcześniej się narodził. Tam żyła jego zamożna rodzina, ojciec – ważny lokalny szlachcic, tam był pałacyk pełen sług i pacholków, ściany, na których wisiały kilimy ze złotogłowiu...

I serce w nim zamarło, gdy ujrzał miasto, które też zostało już złupione i spalone. Po domu jego rodziny, niegdyś zamożnej i szanowanej, nie pozostał kamień na kamieniu. Z rodziny nie przeżył nikt. Część wybili grabieżcy, część zginęła w płomieniach, a pozostali od zarazy, która ogarnęła miasto już po tym, gdy nasyceni łupami żołnierze z niego wyjechali. I biskup nawet nie mógł zapłakać nad swoim i swoich bliskich losem, bo jego oczy, tak samo jak oczy innych, którzy przeżyli pożogę, nie umiały już płakać. Zamieszkał w starej piwnicy. Za dnia chodził na czarne zagony pól, grzebał w nich kijem, a gdy znalazł jakieś ziarno, zbierał je, sadił i podlewał. Tak samo czynili ci wszyscy, którzy przetrwali. Grzebali zmarłych, naprawiali

zniszczone akwedukty. Dzielili się resztkami jedzenia, przygarniali pod swą opiekę sieroty, opiekowali się starcami. Orali pola, ratowali sady, odbudowywali domy na gruzach starych. Czynili to wszystko w ponurym zapamiętaniu, bez skargi. Nie mieli pośród siebie rządzących. Znajdowali w sobie niezwykłą siłę i determinację właściwą ludziom, którzy nie mają już nic, nawet nadziei. A w niedzielne popołudnia zbierali się pod schodami katedry, aby słuchać dawnego biskupa, który teraz stał się ich bratem i przewodnikiem.

Biskup zdążył dawno już przekląć samego siebie z przeszłości, tego dumnego, pyszałkowatego i cynicznego człowieka, który mając bogactwo i pozycję, zatracił zarówno człowieczeństwo, jak i szczerą wiarę w Boga i strach przed jego mocą. Znienawidził biskup swoje dawne tytuły, znienawidził bezdusność Kościoła rzymskiego, którego tak potężnym był kiedyś zwolennikiem i obrońcą. Zrozumiał, że wszystko, co mu się przytrafiło, musiało być przeznaczeniem. Musiało się to wydarzyć, aby go zmienić, aby go uzdrowić, po czym pchnąć na ścieżkę prawdziwej wiary. Stał się Bogu wdzięczny za tę odmianę i postanowił poświęcić resztę swoich dni na odkupywanie ciężką pracą grzechów przeszłości. Gdy pewnego dnia do zrujnowanego miasta przyjechał orszak lokalnego księcia, biskup przywitał go i poprosił o pomoc dla ludu. Książę odrzekł, że sam stracił wiele w wyniku wojennego chaosu i nie ma się czym dzielić. Ale zaproponował, że zabierze go na swój zamek i nada mu rentę i możliwość wykonywania posługi w godnych warunkach. Biskup pokręcił głową. Odrzekł, że jego miejsce jest teraz przy wiernych, którzy go potrzebują, i że nie wierzy już w kościelne pozycje, a tylko w bycie pasterzem dla swego stada. „Nie uważam się już za biskupa, książę. Postanowiłem odrzucić wszelkie przywileje i pokusy, które zawsze się z nimi wiążą, i zamiast o rentę i komnaty na zamku proszę cię, książę, abyś dał nam ziarna do obsiania pól”. Książę zdziwił się niezmiernie, bo pierwszy raz mu się zdarzyło, aby ktokolwiek odrzucił proponowany mu dar. Obiecał przywieźć dwa worki pszenicy, po czym zebrał orszak i odjechał na swój zamek. Pszenica od księcia nigdy się nie pojawiła, ale dawny

biskup był szczęśliwy, jak tylko szczęśliwy może być prawdziwy kapłan, który przeszedł wielką próbę charakteru i wiary.

Odgłos końskich kopyt rozległ się na placu. Do zrujnowanego miasta wjechał obcy. Zbrojny jeździec w przyłbicy, potężny i złowrogi. Biskup spojrział na niego i strach go sparaliżował. Ludzie odwracali się, bledli, truchleli, bo jedyne, czego się spodziewali, to że zaraz na placu pojawią się inni zbrojni. Lecz gdy tylko zorientowali się, że jeździec jest w istocie samotny, w ich umysłach miejsce strachu zajęła nienawiść i żądza zemsty.

– Przeklęty... – wymamrotała kobieta, którą zgwałcili cudzoziemscy żołnierze.

– Najemnik... – sapnął mężczyzna, któremu wybito rodzinę i spalono dom.

– Jest sam – mruknął jeden młodzik, któremu zabili rodziców, a jego samego torturowali, by wydał miejsce zakopania pieniędzy, choć rodzina nie miała żadnego ukrytego majątku.

Tłum zafalował. Ludzie zaczęli podnosić kamienie. Okrzyki się wzmogły. Poleciały pierwsze wyzwiska. A dawny biskup stał nieruchomo, jakby czekał na odpowiedź od Pana. Wiedział przecież, że nic nie dzieje się na tym świecie przypadkowo, więc przybycie obcego do martwego miasta na pewno też przypadkiem nie było.

– Zabijcie go, zabijcie! – wrzasnęła kobieta, a wtedy ludzie ruszyli do przodu z kamieniami w dłoniach.

Obcy nie próbował uciekać. Zatrzymał konia, rozejrzał się. Pod przyłbicą jego usta wywinęły się w geście pogardy, tak podobnej do tej, którą sami odczuwali. Pogardy wobec wszystkiego – życia, Boga, diabła, śmierci. Do całego świata i całej ludzkości na nim.

– Zejdźcie z drogi, niczego od was nie chcę – powiedział zmęczonym, obojętnym głosem.

– Niczego nie chce! – wrzasnęła drwiąco kobieta, a z wielu gardeł rozległy się śmiechy i wyzwiska.

Nogi niosły ludzi naprzód, otoczyli jeźdźca półkolem. Palce zaciskały się na kamieniach. W oczach grały mordercze ogniki. Bo

jakże miał być niewinnym cudzoziemski najemnik, przeklęty przybłęda na żołądź ludzi jeszcze bardziej przeklętych od niego. Oto jeden z tych, którzy utopili Italię we krwi, którzy najpierw toczyli w niej tuziny wojen mniejszych i większych, a potem, rozbestwieni i pijani żądzą krwi, już samopas przemierzali księstwa i republiki, kradnąc, rabując i gwałcąc.

– Nie ma niewinnych pośród ludzi miecza w Italii – rozległ się głos byłego biskupa i ludzi ogarnęła jeszcze większa wściekłość.

– Nie ma żadnych niewinnych na tym przeklętym świecie – powiedział smutno i cicho obcy, po czym nagłym i szybkim ruchem wyszarpnął z pochwy ostry miecz.

Stanął w strzemionach, patrząc w oczy ludzi marnych, wychudłych i zrozpaczonych, trzymających kamienie, gotowych, aby dokonać zemsty chociaż na jednym ze znienawidzonych żołnierzy, skoro akurat wpadł im w ręce. Dopaść go. Obalić i rozbroić, unieruchomić. Torturować na najbardziej przemyślnie sposoby, rozszarpać gołymi rękami na kawałki, a potem te kawałki wgnieść w bruk, uczynić je prochem. Odnaleźć w tym nasycenie choć części gniewu, ugasić strugami krwi płomień trawiący ich od środka.

A on nie miał zamiaru uciekać, a nawet i walczyć nie miał ochoty. Wiedział, że nie był niewinny i że od kiedy przybył do Italii kilka lat wcześniej, zamienił się z młodego rycerza w ponurego, cynicznego najemnika. Przemiana była taka szybka i niezauważalna! To on wojował w hiszpańskiej tercji, walił z muszkietu i z armat, grabił Genuę, znajdował przyjemność w burdach i w objęciach ladacznic, w pijaństwie i mordzie. On służył księciu Dimarco, zabijając jego wrogów, uciszając bunty i wymuszając srogie okupy. I to on jako kondotier zdobywał miasta i zamki, gromił oddziały, rozsyłał grabieżcze bandy, karał niepokornych, sycił się złotem i zdobyczami. Był częścią maszyny, która niczym walec przetoczyła się przez krainy Italii, niosąc takim jak on zaszczyty i przywileje, a jej mieszkańcom nędzę, głód i śmierć. Przez te lata ciężkiej służby nauczył się traktować

okrucieństwo i bezwzględność jako walory i zwyczajne elementy ludzkiego losu.

Patrzył przez wąski otwór przyłbicy na te umęczone, ściągnięte nienawiścią twarze i uśmiechał się ponuro. Po serii wojen północne Włochy były zrujnowane i wyludnione. On był uosobieniem tej zagłady i tak samo częścią tej zagłady staną się oni. Tym samym wszystko będzie w równowadze, bo zagłada, niczym wszechpotężna moc, zawładnie całym światem. Spędził na szlaku do potępienia wystarczający czas, by stać się ślepy na wszystkie inne drogi.

Dawny biskup nagle jakby się przebudził.

– Stójcie, nie czyńcie pomsty! – krzyknął na cały plac. – Nie wolno nam tego czynić! – To, co miało nastąpić, miało pogrzebać wszystko to, co z takim mozołem budowali. Rozlew krwi nie zaleczy żadnych ran, zmieni ich w okrutników, uczyni częścią bestialstwa. – Nie wolno nam! – Słowa przetaczały się echem po placu.

I prawie wszyscy posłuchali jego słów. Zgwałcona kobieta pożałowała swego gniewu, a z jej oczu popłynęły łzy. Mężczyzna, któremu wybito rodzinę, odstąpił, kamień wypadł z jego dłoni i stuknął o ziemię. Młodzik zacisnął zęby, pokręcił głową i cofnął się. Inni w ciszy, wstydliwie, odchodzili. Tylko jeden z tłumu poszedł do przodu, unosząc kamień.

– Niech ginie! – krzyknął i rzucił kamieniem.